



Cena 60 groszy

T Y G O D N I K

Nr. 32 (84)

Warszawa, Niedziela 9 sierpnia 1925 r.

Rok II

Ignacy Daszyński

Czy nie wiedząca literatura?

W poprzednim numerze „Wiadomości Literackich” p. Jan Nepomucen Miller — odpowiadając po swoim występie w sprawie „Pana Tadeusza” — wystąpił z artykułem o „wiedzącej kulturze P. P. S.”. Treść tego artykułu czytelnicy „Wiadomości” mają jeszcze świeżo w pamięci; nie potrzebuję zatem przytaczać jego szczegółów. Uczynię natomiast w wstępie ogólną wzmiankę, że kiedy literatura ma pretensje do polityki, lub odwrotnie, istnieje w tej polemice niebezpieczeństwo, iż każdy co innego ma na myśli, używając słów, które tu i tam mają inne znaczenie i inną wagę. Następnie i to zważyć należy, że literatura piękna potrzebuje z reguły pewnego odalenia od zjawisk, pewnej perspektywy dziejowej, aby móc na dany temat tworzyć, czy też tylko fantazjować swobodnie. Aktualność polityczna nadaje się zazwyczaj do najlichszej twórczości poetyckiej, jakkolwiek i tutaj są pewne wyjątki. „Poetyczna polityka” bywa tak samo podejrzana jak i „politykująca literatura”.

A wreszcie jeszcze jedna uwaga ogólna. Oto stało się od pewnego czasu modą lichych bardzo ludzi, bankrutów prasowych i moralnych, przycepić się do P. P. S., mentorować, wytykać jej rzekome błędy, a wszystko to w tym celu, aby móc swobodnie upozorować swoje własne koczowanie polityczne. Iliż zwykłe lajdactwo. Sprzedaje się taki jeżomość reakcyjnej gazecie za dobre (za dobre) pieniężnie — winna P. P. S., bo on w niej już dłużej oddychać nie mógł. Idzie to do defensywy — z winy oczywiście P. P. S., bo ona nie robi „rrrewolucji”, bez której ten osobnik żyć uczciwie nie może. Nie da mu P. P. S. wytykanie mandatu — odchodzi z „złamanem” narazie sercem, klnąc na „oportunistyczną” P. P. S. I tak dalej.

Co innego p. Miller. Ten jest naprawdę zgorszony i nawet zrozpaczony tem, że między literaturą — jego obozu — a P. P. S. nie ma ścisłego związku i współdziałania. Ale i tutaj winna P. P. S., a raczej klika jej przywódców, którzy za zdradzenie odpychają „lewicę kulturalną” od pracy w szeregach P. P. S. Pan Miller buduje antytezę stosunków przedwojennych w Polsce do powojennych. Wiadzi, że tam przed wojną P. P. S. była bohaterka i poetyczna, bo wielcy pisarze polscy opiewali jej czyny i jej bohaterów, a teraz ani pies kulaawy literacki nie poświęci wiersza P. P. S. i jeszcze jej dowoli uraga, sądząc, że ma do tego święte prawo. Uraga jej nawet przy okazji święcenia przez nią krwawych rocznic swoich, nawet za to, że starannie zbiera wspomnienia o swoich bohaterach! Pomijam narazie pytanie, czy to tak całkowicie prawda. Bo można by przytoczyć sporą liczbę znanych literatów, piszących w prasie P. P. S. Ale faktem niezaprzeczonym, że literatura dzisiejsza nie zajmuje się w tym stopniu P. P. S., jak to bywało przed wojną.

Skąd to pochodzi? Stąd, że najpierw literatura polska ma do swej dyspozycji inne tematy niezwykle barwne, pozornie łatwe i wysoce pociągające. Tematami temi są dzieje wojny światowej, wojny polsko-rosyjskiej, okazała się ogromna większość społeczności polskiej. Z tego punktu widzenia polityka polska mogłaby mieć słuszne pretensje do literatury, zwłaszcza do owej „lewicy kulturalnej”. Do czegoż jednak prowadzić mogą żale i pretensje do słabych? Cóż winni słabi, że są słabymi?

Pytam się, co też stworzyła „lewica kulturalna” na temat najbliższych jej „strzelców”, potem „legionów”, a potem pasowania się potężnej postaci Piłsudskiego z wrogami? Kilka broszurek, kilka wierszyków. Oto wszystko. Nie będę tak okrutny, żeby cytować za

wzorem p. Millera pierwsze słowa niektórych z tych wierszyków. Wiem, że przyjdą kiedyś mocniejsi, którzy to zadanie literatury spełnią. Ale dzisiaj jest smutnowo... Brak jeszcze dzisiaj perspektywy artystycznej i trzeba widocznie czekać, aż powstanie i zacznie tymczasem złe, czy dobrze, ale ma literatura polska tematów wojennych tak dużo, że byłoby ze strony P. P. S. nieprzychylnością, gdyby żądała, aby poeci nią się zajmowali.

A teraz drugi powód. Obawiam się szczerze tego, że literatura polska wraz z „lewicą kulturalną” niewiele wie o tem, co się obecnie dzieje w Polsce, a specjalnie bardzo mało wie o tem, co też zrobiła po wojnie P. P. S.? Nie biorę za złe „lewicy kulturalnej”, że nie ma o tem jasnych pojęć. Po pewnym czasie zapozna się z pewnością z temi sprawami i będzie całkiem inaczej o nich pisała. O nieznanym sobie rzecz świadczyć dwa odezwania się p. Millera. Pierwsze: „(Dawna P. P. S.) zdołała wtargnąć we wszystkie dziedziny życia polskiego”. Obecnie zmieniły się warunki. W życiu kulturalnym Polski współczesnej P. P. S. nie odgrywa, niestety, żadnej roli. Drugie: „Zamiast rozszerzać się na wszystkie dziedziny życia polskiego” (!) stroniła od kurczy się do gromadki najbardziej wtajemniczonych”.

Sprawdźmy spokojnie te dwa zarzuty. Po wojnie światowej powstały w Polsce z żywiołową siłą dwa odłamy, które mogły rozbić w druzgocinę, niepodległe państwo polskie, budowane z takim bohaterstwem — sam p. Miller to przyznaje — przez P. P. S. Te dwa odłamy — to nacjonalistyczny i komunistyczny polscy. W środku tych dwóch wrogich dla państwa sił stała — dzięki Piłsudskiemu u steru — wroga im obu lewica polska, a ściślej mówiąc P. P. S. Dzieje to niedawne, i można je łatwo poznać. P. P. S. dzisiejsza utrzymała przy życiu niepodległe państwo polskie, o które tyle lat jej bohaterowie walczyli, za którego ideał konali na szubienicy. Gdyby nacjonalizm spotężniał i wygrał, rewolucja doprowadziłaby państwo do rozbitcia. Gdyby komuniści wzięli górę, p. Miller nie miałby dziś sposobności pisania w Polsce swoich artykułów oskarżających tak szkaradnie P. P. S. P. P. S. była „partią państwową” w każdym calu, bez względu na to, czy stała u steru rządów, czy była opozycją. Od pierwszego dnia, gdy przeciwstawiała się endeckom czy komunistom, niepodległość Polski była jej gwiazdą i sztandarem. Pozostała wierna samej sobie, swoim bohaterom z przed wojny i z czasów wojny. Pan Miller nazywa to brakiem „wtargnięcia we wszystkie dziedziny życia polskiego”. Chyba nie zastanowił się nad swoimi słowami! Jak to? Istnienie państwa, jego forma demokratyczna, potężny wpływ na rządy, sądy i ustawodawstwo, to wszystko ma być brakiem wpływu na życie kulturalne? A coż to za kultura do diabła, dla której takie sprawy są drobnostką?

Ale spokojnie! P. P. S. dała powszechne prawo wyborcze dla każdego Polaka i dla każdej Polki. Gdzieindziej w krajach takich jak Francja, Anglia, Austria, walczone o to lat dziesiątki, lała się o to prawo krew wielkich rewolucji (1848 r.). P. P. S. wprowadziła powszechne głosowanie bez rozlewu krwi, bez rewolucji. P. P. S. zaproponowała w Polsce 8-godzinny dzień pracy. Jest to podstawa wszelkiej kultury ludzkiej. Gdyby „lewica kulturalna” nie rozumiała potężnego znaczenia tej reformy społecznej właśnie dla kultury ludzkiej, szkoda by z nią w ogóle było mówić. Dekretem rządu P. P. S. wprowadzono podstawową instytucję opieki społecznej, kasy chorych, w których leczy się dzisiaj już cztery miliony ludzi. Czy można twierdzić, że to dla kultury nie ma znaczenia? W konstytucji państwa polskiego wywalczyła P. P. S. winność koalicji (walczone o to krwawo w Europie zachodniej), świecą szkołę, wolność prasy i t. p. piękne rzeczy. Czyż to dla kultury polskiej nie znaczy? A wyłamanie jadłowitych zębów reakcji polskiej, która dążyła do senatu jako do swego pa-

ladjum? Zorganizowanie „poetycznych” niegdys bandosów i fornali i przeprowadzenie pierwszych realnych kroków dla urzeczywistnienia reformy rolnej — czyż to także obojętne dla kultury polskiej? Dekret o ochronie lokatorów (zarówno brukarzy jak muzykantów p. Millera) ochronił w rzeczywistości i jaką taką kulturę życia codziennego. Może p. Millerowi ten pobieżny zaiste spis czynów cierpiących nagle na uwiad kulturalny przywódców P. P. S. wystarczy. Może, a może właśnie — nie! Bo ci przywódcy nie robili „wzlotów”, jak pisze p. Miller. To znaczy nie tylko nie mordowali polskich dygnitarzy państwowych, ale mord taki jako głupi i ohydny potępiali, nie tylko sami barykad nie budowali, ale drugim tego czynić nie pozwolili. Rozwijali tylko swoją niepodległą Polskę za pomocą tak prozaicznych zaiste rzeczy, jak powszechne głosowanie, 8-godzinny dzień roboczy, kasy chorych, opiekę nad bezrobotnymi, ochronę lokatorów, swobody obywatelskie i t. d. Przy czem tu rozpalic „fan-

tażę twórczą”? Jak tu pisać powieści o kasie chorych czy o ochronie lokatorów? Jakież „wzloty” leży w dążeniu P. P. S. do urzeczywistnienia protokołu genewskiego? Co biedny umysł poety znajdzie w pepeesowem zaciętem dążeniu, aby za możniejsi ludzie w Polsce płacili podatki i nie szachrowali? Ale czyż biedna P. P. S. dzisiejsza ma naprawdę popełniać właśnie takie czyny, któreby ośmiewały „lewicę kulturalną”? Skąd ta pretensja? Jakiż? W czasie stagnacji przemysłu, bezrobocia 180.000 ludzi i zredukowanej pracy 500.000 drugich ludzi, w epoce stabilizacji waluty i walki o pokój zewnętrzny, mają przywódcy P. P. S. robić „wzloty” czy przedstawienia dla „lewicy kulturalnej”, aby miała o czem pisać? Twierdzą, że największy nawet geniusz poetycki może o tych dziełach P. P. S. pisać cudowne rzeczy, tylko musi je zrozumieć.

P. P. S. „kurczy” się i niestety, „nie ma koligacji”. Zobaczymy, jak to „kurczenie się” wygląda. W pierwszych wyborach miała P. P. S. krąg 500.000 wy-

borców i 31 posłów. W drugich liczba jej wyborców osiągnęła cyfrę 915.000 i 47 przedstawicieli parlamentarnych. Jeżeli to jest „kurczenie się”, to p. Miller ma dziwne pojęcie o faktach. Czy mamy może dla podobania się „lewicy kulturalnej” pozbyć się tego balastu wyborców i robić „wzloty”?... Widzę, że można i tak myśleć. „Koligacje” zaś odstąpimy chętnie i tak wysoce skoligaconej „lewicy kulturalnej”.

Pan Miller może mnie jeszcze nie rozumieć. Czuję to i dlatego przedstawiam następujący fakt z życia P. P. S., dla postawienia mu potem pewnego pytania. Jest wśród posłów P. P. S. słynny bojowiec, towarzysz — dajmy na to — A. Czyny tego człowieka z epoki przedwojennej są tak fantastyczne, tak cudowne w swoim rzekomem nieprawdopodobieństwie i tak wspaniałe, że szeregi powieściopisarzy, poetów i piękno-duchów mogłoby na jego temat napisać liczne powieści, poezje i nastroje. Tymczasem nikt tego, z wyjątkiem Struga, nie opisywał, a „lewica kulturalna” nie straciła nań ani kropli atramentu. Otóż ten towarzysz A. zajmuje się obecnie w P. P. S. pracą w „wydziale robotniczym wychowania dziecka”, tworzy z największym mozołem kolonoje dziecięce, lafa deficyty, kupuje makę i mleko dla swoich małych wychowanków, przyjdzie mu być „lewicą kulturalną”, gdzie jąda i „lewica kulturalna”, ale „poetyczny” nie jest ani na jotę; nikt o nim nawet nie wie poza P. P. S. Cóż ten człowiek winien, że nie działa dzisiaj na fantazję twórczą literatów? I co lepsze go marobić dzisiaj towarzyszy A., aby uzyskać uznanie bractwa piszącego?

Wreszcie czy wolno p. Millerowi tak wzgardliwie pisać o Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego, który powstał z dylematu, czy zabić pewną liczbę ludzi, czy też tego zamiechać i tworzyć wielką oświatową instytucję? Czy wolno na podstawie jednego wiersza cytatu z artykułu o T. U. R. i paru zupełnie nieprawdopodobnych podejrzeń sądzić ludzi, którzy wśród nieopisanych trudności tworzą wielką instytucję robotniczej oświaty i mają dzisiaj już 60 kół miejscowych, liczących około 6000 członków? Co to za „kultura” literata, który nie zna najprostszych, ogromnych faktów tematu, a potem pisze o nim z taką wzgardliwą nonszalancją?

Byłbym też wskutek tego w bardzo ponurym nastroju, czytając artykuł p. Millera, gdyby nie wesołość serdeczna z powodu jego tytanicznej groźby w końcu artykułu, gdzie pisze: „Nie znajdując oparcia w zatechniej separatce teraźniejszej lewicy społecznej, nowa sztuka będzie musiała stworzyć sobie sama stronnictwo polityczne, nową „partię pracy”, pojętą jako twórczość, która obejmie wszystkie sztuki żywe (!) — od brukarstwa, budownictwa do poezji i muzyki — i dążyć będzie do ustroju „rad”, kolektywnej współpracy z związków i zrzeszeń w hierarchicznym układzie społecznego organizmu, którego wolą pokieruje sztuka”.

Tylko rozpacz o krwawie nabiegłych oczach mogła podkopywać p. Millerowi te zaiste okropną groźbę. Nowa partia o „partii” („teraz brakuje magistrat warszawski w nieznośny sposób ulice Warszawy”) i o muzykę, pokieruje wolą społeczeństwa polskiego! Dobrze, dobrze. Ale ile tu rzeczy okropnych trzeba będzie dokonać! Proszę się tylko zastanowić. Najpierw trzeba zorganizować zadowolono kilka milionów robotników (bo „brukarze” mają jeszcze zbyt słabą wolę kierowniczą...), potem przepierać setkę posłów i senatorów (do tego potrzebna jest drobnotka: kilka milionów wyborców), opanować samorządowe instytucje, gminy, sejmiki i t. p., potem stworzyć polityczną, zawodową i kształcącą literaturę, potem odbywać krocie tysięcy posiedzeń, zgromadzeń poufnych i publicznych, aby ta „nowa partia” (i to złożona także z „ogłupiałej i przerażonej inteligencji”) żyła i życie okrzykiwała! Potem trzeba skoordynować jakoś te wszystkie związki „brukarzy” i „muzykantów” i przykryć te „rady” nadzernym płaszcem partyjnym, aby doczekać się po tylu cierpieniach, że w jakiejś „Pobudce Postępu” jakiś p. Sebastian

Majer zarzuci p. Janowi Nepomucenowi Millerowi, że jest ambitnym ramolem, który odracza jego — Majera — od działalności twórczej w „nowej partii”... że się „kurczy” i t. d. aż do skutku.

Nie radzę tworzyć „nowej partii”, bo ani „lewica kulturalna” tego robić nie umie, ani umieć nie potrzebuje. A jej „wzloty” polityczne wzbudziłyby w Polsce taką huczną wesołość, że szkoda się na to narażać. Odradzam stanowczo i to z życzliwością.

A teraz przejdźmy w końcu do umiejscowienia bólu, bo to często pomaga. Pan Miller i „lewica kulturalna” są w gruncie rzeczy niezadowoleni z redakcji „Robotnika” i doradzają dyskretnie P. P. S., aby swoją prasę upodobniła do prasy brukowej, zwanej w Warszawie „czernową”. Pójdźmy więc za nim. „Robotnik” powinien zatem zająć się atakami na honor ludzki (przedewszystkiem atakować bezbronne kobiety!), powinien uprawiać szantaż co kilka dni na tle sprawozdań policyjnych i sądowych, dalej ma koronować co miesiąc jakąś panę — o ile możliwości dziewięć — z tego czy owego przedmieścia... Jego redaktorzy mają pisać głupkowate, ale sensacyjne napisy nad artykułami, w których treści niczego niema z tytułu; mają przybierać maskę interesujących krytyków i co parę tygodni szcekać na sejm, zapalać... Wtedy ma być „lewica kulturalna” zadowolona, nie będzie zasyłała już nad gromadnicą „czernową” „Robotnika” i może użyć swoich poezji i feljetonów. A kultura zasłoni sobie wtedy oczy, aby na coś podobnego nie patrzeć.

Więc może i nie o to chodzi p. Millerowi? A o co? Przypuszczam, że o porozumienie się w sprawach artystycznej działalności w prasie socjalistycznej i w instytucjach robotniczych. Ale z największą przyjemnością zgodzi się na to nawet najbardziej „skurczony” działacz z P. P. S. I owszem, możemy publicznie czy prywatnie o tych rzeczach mówić. Znajdzie się pole i to dość obszerne, na którym „lewica kulturalna” zechce się porozumieć z „lewicą społeczną”. Ale w tym celu nie potrzeba wcale „lamać krzesła”. Wystarczy, żeby literaci „społeczni” zainicjowali pracę w redakcjach pism, czy w instytucjach kulturalnych P. P. S. Narazie słabo wierzę w taką rychłą pracę literatów „lewicowych”. Najpierw dlatego, że P. P. S. jest u boga partią ubogich ludzi. Nie piszę tego ze złośliwości, lecz stwierdzam fakt oczywisty. Współpracownicy stali „Robotnika” biorą pensje równające się 1/4 części pensji płaconych w redakcjach burżuazyjnych. Honoraria zaś literackie w P. P. S. to głodowe zaiste wynagrodzenie. Nie apeluję do serc litotwórców, ale stwierdzam, że to nie zachęca. Tylko P. P. S. może sobie z tem narazie dać radę. Inni nie pośpieszą do tej głodówki. A może pośpieszą? Tem lepiej, bo to się może zmienić kiedyś na lepsze...

Ale nie tylko o pieniądze tu chodzi. Chodzi także o treść literatury. Niechże taki piszący pan synpie feljeton o — dajmy na to — uroku władzy absolutystycznej, lub nazwie 8-godzinny dzień pracy brednią? Niech przed swój tron samowładcy (o, jacy samowładcy bywają, kiedy tylko pióro w rękę dźrzą i nie znają ani trochę danej rzeczy!) przywlecze rzeczywistość i narzuci jej swoją „wolę twórczą”... a niechaj przytem nie ma zbyt wielkiego talentu, — czy P. P. S. musi padać płackiem przed takim i „wzlotami”? Leżą w tem trudności tem większe, im mniej się zna „lewicę kulturalną” z „lewicą społeczną”, a raczej z P. P. S. A poznawać się trzeba nie krzycząc na siebie, nie gniewając się aż tak nieładnie, jak p. Miller gniewa się na P. P. S. I nie zasypiając od razu, gdy się czyta dziennik socjalistyczny. Trudno, trzeba trochę pocierpieć dla wielkiego celu, choćby się dzień przedtem trzeba było położyć o dwunastej w nocy do łóżka. Z tem podobno miał Piłsudski największą trudność, gdy literatom w legionach kazał kłaść się o dziewiątej wieczór, a zrywać się o piątą rano! — Wytrzymali wtedy, może i teraz wytrzymają i nie zasną nad gazetą. Spróbujmy.

W przypisku skromna prośba już całkiem o sobistą. Proszę p. Millera, aby nie brał Żeromskiego w obronę przede mną. Jest to wobec obu tych ludzi rzecz zupełnie, ale to zupełnie niepotrzebna.

Antoni Słonimski

Oda o Allanie Gerbault

Osiemdziesiąt dni po Atlantyku

Płynąłeś samotny, wyniosły, —

A twe żeglarskie rzemiosło

Zmieniło w stokrotnie wiosło

Niezmordowana rękę.

Zagle zszarpane jak chmury,

Liny rozmiękle,

Słone wichury,

Ściągałeś gniewnym okrzykiem,

A wodne góry, morskie otchłanie,

Olbrzymim łykiem

Z bułgotem wściekłym

Próżno miotają twój szkuner,

Allanie!

Osiemdziesiąt dni na Atlantyku

Męczył cię chłód i upał;

Ręce zgrabiące i sine

Próżno rozwiązać chciały

Supel

Mokrego sznuru.

Aż po olbrzymiej morza pochyłości,

Przez otchłanie wzburzone

Kryjące dno,

Opłynąłeś new-yorski posąg wolności

Trzykrotnie,

Allanie Gerbault!

Na pokład, co pianą się okrył,

Wyszedłeś obdarty i bosy,

A wiatr nad tobą cwałował,

Całował

Mokre twe włosy.

Duma jak wicher piersi rozpiera,

A biedny żagiel uszyty z worków

Załopotał na cześć bohatera,

Jak chorągiew, u bramy New-Yorku.

Mobilizacja przeciw Żeromskiemu Samożerstwo polskie

Z okazji ostatnich wystąpień pismakowych i wiecowych rezolucyj

W innych krajach, w Europie, w rzetelnej Europie, wypróbowanym środkiem pedagogicznym i politycznym jest gloryfikacja cnoty obywatelskiej, religijnej, rycerskiej, twórczej. Zrozumieli tam rząd, stowarzyszenia, władze, partie i kołtery, że wywyższanie zasług swoich obywateli jest nieomylnym środkiem agitacyjnym, kształcącym i pouczającym, wnoszącym zdrowie i pierwiastki nieznikomej wartości. Pozytywność metod pobila z kretesem metody negatywne. Mussolini skłaniał głowę przed d'Annunziem, chociaż byli sobie wrogami. O tym pokłonie, o tej zgodzie rozpisały się gazety włoskie. Za zasługi daly Włochy d'Annunziowi tytuł księcia — właśnie Włochy odrodzone, faszystowskie, mimo że wiemy iż nabyły dobrze, jakie w dziedzinie... erotyki popęłała twórczość jego wybrki i jak w żadnym związku nie stała z zagadnieniami państwowości ojczyzny.

Francja przeprowadza w Rzymie jedną kanonizację po drugiej, rozstawiając na wszystkie sposoby swoje imię, wynosząc swoich świętych na ołtarze świata. W jakim bądź kierunku idzie praca takiej czy owakiej partii, zaczyna się ona od aktu pozytywnego, od wywyższania czegoś lub kogoś, od podkreślenia dodatniej cechy, dla nauki i dla chwały.

Jeżeli czasem tam, w Europie, jakimś zgola nieobliczalnym manewrem wtrąca się w dziedzinę publiczną akt negatywny, głośniejszy — starają się tam rzeczową jak najszybciej zatuszować. Najwybitniejsi w narodzie protestują gwałtownie przeciw okupowaniu niedostępności. Tak było za sprawą Pawła Margueritte i jego — och, jak przeciętnie! — „Garconki”. Ktoś uderzył z polską na alarm, rozdmuchał znaczenie tej marnej powiatki, która ma sekty identycznych w literaturze francuskiej, do rozmiarów epokowego skandalu, ktoś postarał się o odebranie Marguericie Legii, dzięki czemu naturalnie tysiące egzemplarzy „Garconki” rozszły się po całym świecie — odpowiednio sfery, nie poparte przez żaden autorytet, skompromitowały się całkowicie i teraz zaczęły rejerdać. Zdrowe społeczeństwo nie da sobie wmówić, że tak dla prestiżu u wobec świata jak dla celów pedagogicznych we własnym domu gloryfikacja cnoty i zasługi jest mniej doniosłym czynnikiem i mniej dodatnim, niżeli piętnowanie błędów i niedostatków. Nie upadku. Hold oddany ostatnio cieniem France'a, przewspaniała kanonizacja w Rzymie św. Teresy Młodszej, dziełeczki z Lisieux, więcej przyczytności chwały i blasku Francuzom i więcej stokrrotnie podziału w kierunku obywatelskiego kształcenia, niżeli wspomniane odebranie Legii Marguericie czy swego czasu płwanie na Romain Rollanda.

U nas nikt tego zrozumieć nie chce. U nas opart się cały sens pedagogiczny, cała akcja polityczna i obywatelska nie na podnoszeniu czyjś zasług, jeno na piętnowaniu byłych lub wymagających błędów, na obnażaniu czyichś przyswar, na demonstrowaniu zła i brudu. Nic więcej. Niema nigdzie u nas pozytywnej roboty, niema poszanowania hierarchii, zdobyciej mozołem wiedzy i talentu, niema tęsknoty do wyciągania ekstraktu dożytecznego ze zdobytych przeszłości dla korzyści obecnej, jeno papranie się w drabiazgach aktualnych, ujemych. Wszelkich odruch apoteozy zastąpiła u nas pralnia, nawet nie chemiczna, ale taka zwyczajna, ordynarna, z płaskaniem kijanek, z mydłina, szumowina, ze skwapliwością prostactkich, chropowatych rak.

Nikt u nas o tem słyszeć nawet nie chce, że więcej o Polsce wobec zagranicy zaświadczyła choćby... ekipa polska... że więcej rozstawiło jej imię i więcej dobrego działoła w kraju sprowadzenie zwłok Stenkwicza — że więcej mogłaby zaświadczyć o jej trwałym istnieniu, o jej wiekowej tradycji, kanonizacja jakiejś polskiej królowej Jadwigi czy Kingi, jakaś beatyfikacja matki Marchockiej, siostry Kolumby Dominikanki, czy skromnej panny Justyny Nepomuceny Malczewskiej, — jakieś wspaniałe, hołdownicze wydanie dla zagranicy „Popiołów”, czy „Wiatru od morza” czy tek Noakowskiego, — niżli szkalowanie Piłsudskiego przed forum świata lub „demaskowanie” Dmowskiego.

Kiedy Stefan Żeromski w głębokiej, bolesnej zadumie nad przeszłością i teraźniejszością narodu dał swego czasu „Popioły”, „Waligierza”, „Dumę o hetmanie” i „Sulkowskiego”, a dzisiaj, w twardej związku będący z całą jego twórczością, radosny hejnał „Wiatru od morza” — kto w Polsce odrodzonej podniósł głos, aby tego pisarza uczcić, aby odznaczyć najwyższym odznaczeniem na jakie nas stać ów talent, tyle chwały ojczyźnie przynoszący?

Nikt. W milczeniu zjadano, jakby z łaski, chleb święty, chleb pożywny jego twórczości najcudniejszej. Ale kiedy się komus, gdzieś, kiedyś, zdało, że Żeromski pogląskwał w „Przedwiośniu” bolszewizm, a potracił z lekceważeniem ziemianstwo, kiedy się komus, gdzieś, kiedyś, nagle przypomniało przy tej okazji, że Żeromski napisał „Dzieje grzechu” (najwspanialszy zresztą poemat o istocie grzechu, jaki kiedykolwiek literatura dała), zaraz znalazły się jakieś klany, jakieś damy, jakieś, pożał się Boże, pismaki płatne, zmieniające co kwadrans orientację, które zakrzyknęły: „Coñać odznakę Żerom-

skiemu!!! Odebrać mu Krzyż Zasługi!!!” Nigdzie się tak zarliwie nie korzysta z każdej sposobności jak w Polsce, aby prowadzić pracę negatywną, destruktywną. Kiedy zdarzy się moment na pochwałę, na pokłon komus, niema nikogo, lecz kiedy uderzy godzina jakiegoś domniemanego czy istotnego poplądzenia, zachwiania — znajdują się bezzwłocznie tysiące, rozróżnione radością, pijane gorliwością, gotowe pluć aż do ostatniego tchu. Z zajądła pasją demonstrujemy wciąż przed sobą, przed światem i własnym wewnętrznym wrogiem, nasze wrzody i nasze liszaje, laury zaś, uśmiechy i blaski kryjemy zazdrośnie. Samożądanie, samożerstwo nanoszący się u nas coraz potężniej, pod łatanym płaszczkiem z groźnotą, któremu na imię (nom de guerre!) — „obowiązek obywatelski”.

Wróćmy do Francji. Skompromitował się tam jakiś klanik literacki odebraniem Legii Pawłowi Margueritte, ale chociaż Margueritte stał tak daleko w hierarchii od Anatola France'a dajmy na to, jak ja od Żeromskiego, France natychmiast stanął do walki i zapytał: „Jakiem prawem?” Zapytał imieniem solidarności koleżeńkiej, zapytał imieniem nienaruszalności twórczej dziedziny, zapytał i imieniem nieprzeciętności, którą głupie małostki obrażają, i tak samo wystąpił w szranki inni, wielcy i mali. —

A kto u nas z pisarzy ujął się obecnie, surowo, gromadnie, zasadniczo, za Żeromskim?

Gdzie Władysław Reymont? Gdzie Wacław Sieroszewski? Gdzie Aleksander Świętochowski? Przybyszewski, Kadet — Bandrowski, Strug? Gdzie Rostkowski, nie ten polityczny żongler antychrystowy, ale ten czysty artysta z bożej łaski, autor „Judasza”? On przecież najgwałtowniej próbuje utrzymać ekwilibrystykę etyki narodowej! Kto dał odbrwać zuchwałym pismakom: Ligockim, Nakęskim, Pusłowskim, Junoszczykom? Jaki autorytet nakazał paniom ziemiankom, skondełowanym w niepojętej uchwale zjazdu warszawskiego, aby przeprosiły publicznie chlubę polskiej literatury za zniewagę i cofnęły pacanowską rezolucję?

Nikt. Cisza.

Dlatego mój głos, sądzę, będzie donośniejszy, mimo swojej nikłości, że padnie w tą ciszę śmiertelna i karygodna. Wołam więc i wyzywam.

Protestuję przeciw tej polskiej, wiecowskiej, smrotnej negacji. Żadajcie pracy pozytywnej. Żadajcie szacunku dla hierarchii ducha. Wytłumaczcie ślepotom narodowym, że naruszanie wszelkiej hierarchii jest właśnie, jest wyłącznie podstawą bolszewizmu — że deptanie zasług i przekreślanie chlubnej przeszłości jest niczem innym, jeno zarodkiem anarchii. Jakaż inna metoda walczą wyrotowe sfery przeciw t. zw. „możnym”, jak nie przekreślaniem, anulowaniem ich zasług wyłącznie wobec kultury i potęgi narodu, a podkreślaniem ich błędów wyłącznie i grzechów!

Powiedzcie, mówiąc codziennie, bezprzeżannie aż do ochrypnięcia, że tam, gdzie w czasach spokojnych, niewojennych, niekonspiracyjnych, czysta sztuka, sztuka dla sztuki, kontrolowana jeno kanonami abstrakcji, nie służąca (z obowiazku) żadnym celom narodu czy partii, sztuka wolna i swobodna do granic ostatnich, przestaje istnieć — tam się właśnie zaczyna bolszewizm. Charakterystyczny mamy wszakże przykład: jedno jest tylko państwo w Europie, mające jawnie bolszewicki ustrój, mianowicie Rosja, i właśnie tylko to jedno państwo jawnie zmonopolizowało sztukę na rzecz propagandy i społecznych hasel. W tem jednym tylko państwie tworzy się pod dyktandem potrzeby bieżącej — zaliżymy marzyć istotnie o podobnym bolszewizowaniu, zmonopolizowaniu sztuki na wzór sowiecki i rzekli „A”, aby powiedzieć „B”?

W kraju wolnym i wielkim sztuka musi być wolna i niekrepowana niczem. Tylko małostki i nędza duchowa, tylko trwoga o chwiejność podstawy bytu i granic ujarzma sztukę i wiedzę ją za nos do takiej lub owakiej orki. W państwie normalnym i znaczącym swoją wartość, o granicach ustalonych, o narodowości uświadomionej, zaprzęga się do orki woły, a sztuki się nie krepuje i nie wytycza jej dróg, albowiem ona sama w sobie jest walorem najwyższym, sama w sobie bogactwem narodu. Monopolizowanie sztuki dla celów państwowych, choćby najgłośniejszy, jest już rozkładem, bo niszczeniem dobra narodowego, któremu rubrykowanie jest zatrata. Jeżeli twórczość czyjaś idzie samorzutnie po linii zagadnień narodowych i społecznych, jak np. właśnie twórczość Żeromskiego, nasiąknięta sprawą naszą, — niechaj idzie, a nam przystoi tylko z czcią z drogi się usuwać. Nigdy nie wiemy, jaką rolę odegra sztuka w życiu narodów. Przypomnijmy sobie czyste, górne, płomienne dzieła Tolstojów i Mereżkowskich, wołające w rozpacz o przewrót, o wolność, o oświecenie, o chrześcijański ustrój — którzy przypuścili, że z tej ich nauki apostołskiej, z posiewu ich słów głęboko chrześcijańskich wyrosła las bolszewickiego kółka, że z ich łagodnych, miłości

pełnych parabol buchnie płomień najkrwawszej rebelii, djabełski, piekielny wir, który ich ojczyznę zatopi i zakuje w kajdany? Sztuka jest zjawiskiem nieaktualnym, nieogarniętym, o metach w nieskończoność zagubionych. Nie możemy jej mierzyc naszą zwyczajną miarą powszednią.

Świętina powiedziała z okazji „Przedwiośnia” jedna z najwybitniejszych publicystek polskich, Zofia Morstinowa: „Przerazającym artystycznie zjawiskiem jest to, że wielu ludzi zobaczyło w „Przedwiośniu” dzieło rewolucyjne i społecznie niebezpieczne, zamiast zobaczyć w nim to, czym jest: nieprzeciętnie piękną, wysokiej miary artystyczną książkę. I boję się, że tą miarą mierzą naszą literaturę, bardzo ją uszczuplają. Już wyrzucamy z niej „Pana Tadeusza” i „Przedwiośnię”. Myślę, że do brzozy było usunąć także improwizację z „Dziadów”, bo ze względów religijnych nie jest dobrze mówić do Pana Boga: „Kłamca jest, kto Cię nazwał miłością”. A kto wie, czy niema jeszcze i innych arcydzieł, których społecznego i politycznego niebezpieczeństwa jeszcześmy nie dopatrzyli. Oczekujemy więc rozszerzenia listy tego sui generis jedyne indeksu literackiego”.

Nie dla wszystkich są książki o wysokiej dynamice uczuciowej i nadprzeciętnym artyzmie, o tem nie wątpimy. Kościół przeciw katolicki uznał wartość ksiąg Starego Testamentu za dogmat, mimo to żadnej ze swoich owieczek nie pozwala czytać tych ksiąg bez odpowiednich komentarzy lub bez specjalnego zezwolenia, i tu leży nauka dla dorosłych naszych trzebieli, że nie można zamykać ust genialnym twórcom, dlatego że może zgorzysć się pensjonareczka z zakładu SS. Urszulanek, lub student z siódmej gimnazjalnej (których notabene nie gorszy wcale suknia mamy, obnażająca raczej ciało, niż odziewająca...).

Na zakończenie pozwolę sobie wpisać do sztabuchu naszych rozbustwionych pismactwów, żerujących na wielkiej sławie Żeromskiego:

„Ce que je peux vous conseiller, si vous tenez à entrer dans l'arène, c'est de fonder le groupe de l'intelligence claire. Votre programme sera naturellement la démolition des programmes de vos deux voisins de gauche et de droite, que vous traiterez, selon le langage des uns, de bolcheviks et d'anarchistes et, selon le langage des autres, de réactionnaires ou de cléricaux et de bouffeurs de crânes. Ou bien alors conseillez à tout vos amis de s'enrôler soit à gauche, soit à droite, et restez chez vous à faire des oeuvres, si vos moyens de fortune vous le permettent — de façon à ce que, dans quelque temps, tous les autres s'étant épuisés en querelles politiques, il ne reste que des écrits sur le marché...” (Fernand Divoire „Stratégie littéraire”).

Paniom ziemiankom przypominam, że w czasach zamierających inne panie ziemianki, z wyspy Kos, odesłały Praksytelesowi dzieło najczystsze gołotnie — posąg Afrodyty Anadomenej — z kategorią rezolucyj, na tłumnym wiecu uchwalona, aby przysłał im inną rzeźbę, bardziej ubraną, bo ta szerzy zgorznienie swoją nagością. — Sława tych ziemianek z wyspy Kos przetrwała do dziś, czy pozardrościły im jej panie ziemianki polskie? Ja nie, chociaż jestem ziemianką!

Nam zaś wszystkim przypominam, że tak się cudnie u nas złożyło, iż po odrodzeniu Polski nie mieszkał ani goźdź na zamku królewskim w Warszawie człek zwyczajny, naganiacz wotów roboczych, druciarz drutujący potłuczone garki państwowe, ale że od pierwszej chwili zamieszkał tam: artysta. Nigdzie — na całym świecie — tylko u nas!

Na zamku królewskim urzędował, jak wiadomo, Paderewski z chwilą powstania naszej ojczyzny, teraz mieszka tam Przybyszewski i Żeromski. Właśnie Żeromski, i tam się skupia tętno polskiej twórczości.

Pamiętajmy, że w tem oddaniu zamku królewskiego polskiej sztuce, pani najmniejszej i zawsze przeczystej, niestartem krzyżem poświęconej, leży znak tajemny i nauka dla nas, gapiów niewinnych, dających się ośnić i zbałamuć lada chłystkowi. Wciąż się powtarza na polskiej ulicy ten chłystek, który stanął raz na trotuarze, zadął głowę i patrzył w okna pierwszej lepszej kamienicy. Patrzył minuty, dwie, i oto zgromadził się cały tłum wokół niego i patrzył także w okno, a nawet strzelanie z armat nie byłoby ich oderwało od tego zajęcia.

Proceder owego chłystka powtarza się ad infinitum — mamy feljetony pp. Nakęskich, Junoszców, Pusłowskich i Ligockich o Stefanie Żeromskim!

Tu także, wobec sądu tych panów o Żeromskim, byłaby na miejscu anegdota o ks. arcybiskupie paryskim, kardynale Dubois. Wita się on z jakimś panem, a ten, pospiesznie, nieproszony, niepytany, oświadcza:

— „uprzedzam Jego Eminencję, że jestem wolnośmiciem. Nie wierzę w Pana Boga...”

— Och, jakże Go to musi smuć... — odparł z łagodnym uśmiechem kardynał.

Marja - Jehanne Wielopolska.

Sztuka z a n a w i a s e m ż y c i a Artyści w złem mieście

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich”

Łódź, w sierpniu 1925.

Na wywóz

Łódź handlowo - przemysłowa ma obecnie ciężki przednówek: zamówienia letnie wykonano dawno, zimowych jeszcze niema, a widoki na przyszłość nieszczerne. Przyszłość sierpień — fala strajków. Sezon ogórkowy dał się w tym roku szczególnie we znaki businessmenom: tuśte lata dewaluacji odbijają się. Artysta natomiast wrzusa tylko ramionami: było ciężko, jest ciężko. „Robiacy” w sztuce, nie w manufakturze, Łódzianin ma sezon ogórkowy przez cały rok okrągły. Zresztą obowiązują go również żelazne prawa ekonomiki: jak każdy „Łodermensch”, musi robić na wywóz — rynek bowiem wewnętrzny niema zaufania do wyrobów łódzkich. Szanujący się Łódzianin nabywa szewiów lub gabardyn marki angielskiej, a jeśli go na to nie stać — przynajmniej z Bielska. Bo i „coż może być dobrego z Nazaretu”? Racje miał Zygmunt Bartkiewicz: Łódź jest „złym miastem” — dla artystów w każdym razie.

Ludzie pióra, zamieszkujący w Łodzi, są tu zupełnie zbędni: niema łączności organicznej między ich twórczością a środowiskiem — pomijając już, że pisarz niema gdzie w Łodzi drukować. I nie dlatego, by nie było dobrej woli ze strony pisarzy — zbliżyć się do ludzi mechanicznej pracy i mechanicznych popędów. Owsem, kilkakrotnie próbowało się stworzyć coś w rodzaju ośrodka literacko-artystycznego: wszystkie jednak wysiłki spełzły na niczem z braku poparcia ze strony „rynku”. Składają pisać dla Łódzian i o Łódzianach trzeba inaczej, niż dajmy na to, dla Krakowian. Łódź czeka jeszcze na swego Sinclaira i Walta Whitmana, tymczasem zaś pozerza chciwie Ersatz - literaturę w odcinkach „Expressu Ilustrowanego”, w rodzaju „Szatana Łodzi”, „Szczurów Łodzi” i t. p. pięknych elaboratów, pisanych „na akord” — zresztą przez reporterów prasy warszawskiej. Literaci, z jakichkolwiek powodów zamieszkujący w Łodzi, jednak pracują i to dość intensywnie: wpływa na to dodatnio brak „Ziemiańskiej”.

Józef Wittlin — Lwówianin, najbardziej obcy miastu kominów — od roku usunął się w zacisze podmiejskie, do Bolesławowa (jest to miła rezydencja zmarłego przed laty wolnośmiciela i znanego działacza społecznego, dr. Kaufmana, pełna tradycji z okresu walk społeczno-politycznych: ukrywał się w niej Piłsudski, mieszkał dr. Marchlewski, Feliks Konecki, była w r. 1905 drukarnia konspiracyjna...) Tu pisze powieści, która przygotowywał oddawna, — „O żołnierzu cierpliwym”. Bohatera niema — bohaterem jest wojna światowa. Czytał mi Wittlin kilka rozdziałów swej pracy: napisana świetna proza. Prócz tego autor „Hymnów” studjuje z zamiłowaniem materiały do żywota św. Franciszka z Asyżu, o którym opracowuje monografię. W tym celu wyjechał niedawno do Włoch.

Mieczysław Braun przygotował do druku obszerny tom wierszy p. t. „Niebo i ziemia”, w którego skład wchodzi m. in. świetne „Rzemiosła” (pojawiły się w „Skamandrze”). Tom ten ma wkrótce ukazać się na półkach księgarskich.

Stanisław Górniak, autor chybionego utworu p. t. „Bojowym szlakiem”, zakończył nową powieść unanimityczną, gdzie bohaterem jest pułk piechoty podczas wojny światowej i w początku rewolucji. Powieść, znana mi z rękopisu, jest znacznie lepsza niż poprzednia.

Witold Wandurski pracuje nad dramatem rewolucji światowej. Akcja „Katyliny” toczy się współcześnie — w Rzymie, Paryżu, Berlinie i Moskwie. I niońa i charaktery postaci ze spisku katylinarnego zachowane — tło jednak i zabarwienie społeczne całkowicie zmodernizowane. Jednocześnie pisze powieść — „Serca w tyglu”: akcja toczy się w Rosji na tle wypadków 1918—1921 r.

Bezwzględny plus polityki Grabskiego — stabilizacja — zabiła liczne do niedawna w Łodzi kramiki, gdzie nuworzyse nabywać mogli za słone pieniądze kicze na olejno. Dziś lokuje się gotówkę — jeśli się otrzymało pożyczkę od rządu — w nowych modelach „Tatra”, „Buick” lub „Fiat”. Zresztą, handel obrazami został, zdaje się, zmonopolizowany przez dyrektora miejskiej galerii sztuki, p. Diensta-Dabrowę. Najlepiej „szły” płótna Laszénki, który sprytnie wyzyskał koniunkturę łódzką, ogłaszając, że obrazy jego malowane są prosto „z natury” — w samej Palestynie! Pan Dienstl - Dabrowa robił co mógł, by zaszczepić Łódzianom trochę snobizmu artystycznego: urządził w galerii miejskiej radio - koncerty, charczące i belkocące przy deszczu i pogodzie, herbalki — nie tańczące, jak dotychczas, lecz okraszane mile winogretem odczytów Winawera, Stonimskiego, Ligockiego (!), Tuwima... nawet wystawił moc arcydzieł miejscowych malarzy: Radwańskiego, Andrzejewskiego i t. p. znakomitych dyktantów. W przedsiönku galerii, co prawda, zabrakło się kilku doskonałych drzeworytów Skoczylasa, zdaje się — przez niedopatrzenie. Można to wybaczyć szanownemu dyktantowi, jeśli się zważy, że na najwidoczniejszym miejscu rozpiął na ścianach dwa olbrzymie wiaty niałe doszczętnie i zamazane jakąś ciecza barwną płótniską, o których mówi się z dumą: Andriolli! — Być może — ale czy mistrz czuje widoczność za to, że te zarzucone gdzieś na strych płachty — notabene strasznie zniszczone — wywleczo-

no na światło dzienne, — śmiej wapić.

Jest przecie w Łodzi kilku rzetelnych majstrów pędzla, — zarówno starszych (Trębacz, Berman) jak i młodych, — dla których za wysokie są progi miejskiej galerii sztuki.

Wśród kulturalnych, świadomych swego rzemiosła, malujących nowocześnie ar-



SOMNAMBULIK
obraz Karola Hillera

tystów pierwsze miejsce zajmuje Karol Hiller, — jeden z najzdolniejszych uczniów słynnego prof. Bojczuka w Kijowie; Hiller wymamancyował się już ostatecznie z pod wpływów archaizujących, chociaż zna on świetnie (nie filologicznie, ale fachowo — z punktu widzenia tajemnic te-



KAROL HILLER
karyktura Witolda Wandurskiego

chniki i faktury) sztukę staro - grecką, asyryjską, bizantyjską oraz perską i indyjską. Jest to malarz hieratycznego gestu — jeden z tych, o których Meyrink mówi, że należą „do wspólnego związku... i że te przynależność do siebie zaznaczali na odległość przez znaki



JÓZEF MAYEN
karyktura Witolda Wandurskiego

tajemne na figurach swych obrazów — najczęściej przez układ palców i gesty rąk — albo przez oczy...” Jeżeli chodzi o analogie, styl obrazów Hillera najbardziej przypomina tańce Saint M'Ahesy: taka sama rytmika i wyrazistość egzotyczna gestu, takie samo upodobanie do

rozłożenia ciała na płaszczyźnie, podobna kolorystyka — nieco dziwaczna — w prostych skądinąd strojach. Hiller maluje przeważnie tempera, według tajemniczych przepisów, które przechowywał w rękopisach dawnych mnichów. Sam gruntuje deski, nakłada złoto, szlifuje zębem niedźwiedzi. Świętym rysownik, uprawia chętnie grafikę, drzeworyt, lineoryt, litografię.

Ignacy Hirsztang, uczeń Malczewskiego, maluje przeważnie olejno, chociaż ostatnio uprawia nową, przez siebie wynalezioną, technikę barwnych tuszów. Udają mu się zwłaszcza martwe natury, zdradzające wpływ Deraina — przeważnie w zimnej, kobaltowo - szarozielonej tonacji. Ciekawy jest cykl olejny jego pejzaży łódzkich, potrakowanych kubistycznie, z podkreśleniem masowych bramaurów.

Bardzo zdolnym, pełnym swady malarzem jest Wincenty Brauner, znany z wystaw warszawskich. Artysta temu, który równie dobrze robi w technice impresjonistycznej jak i ekspresjonistycznej, przeszkadza jednak pewna nieudolność i brak skoncentrowania.

Swisty wzór przystosowania się do potrzeb rynku dał znakomity Artur Szyk — świetny ongiś karykaturzysta, znacznie słabszy obecnie miniaturzysta. Rok temu wyjechał do Paryża, gdzie ilustrował księgi hebrajskie i Koran, potem wyruszył do Tunisu, robił tam portrety miniaturowe miniaturowych księży, wrócił do Paryża — a obecnie widocznie jeżdża do Łodzi, bo „Republika” forsuje zawzięcie jego popularność, dając co tydzień w dodatku reprodukcje prac Szyka. Po Łodzi krąży luksusowo w Paryżu wydany katalog prac tego malarza z pompatycznym wstępem „samego” Piotra Benoit i z reprodukcjami, zaopatrzonymi w tego rodzaju podpisy: własność senatora de Monzie, własność barona de Rothschild, nabyte przez M-r Ettingen, wielkiego przemysłowca. Rzecz oczywista, że skoro sam Rothschild, a w Łodzi potentat bałwaniety Ettingen nabywają prace genialnego artysty — to nie może przecieć pan Maks Kolb albo inny Silberstein być gorszy.

Jest ich sporo: dwa miejskie (zimowy i letni), dwa popularne (zimowy i letni), jeden żydowski i jeden niemiecki. Ale w żadnym z tych przedsiębiorstw (mało dochodowych zresztą) — nie było teatru. Jakby się zmówili: wszystko na szaro, „średnio na jeża”. Bodaj jedno zupełnie chybione, ale śmiało przedstawienie (mówię o teatrze reprezentacyjnym — miejskim) — gdzie tam! Repertuar może nie najgorszy, znajduje się tam „Jenseits” Hasenclawera, „Lille Wenede”, nawet młodych autorów polskich: Zegadłowicza („Lampka oliwna”), Pawlikowską („Szofer Archibald”). Nie brakło również talentów. — Ale co z tego? — Rutyna, nuda, „przyzwyczajenie” w najlepszym razie — i nic więcej. Jakże tu wymagać od publiczności, by popierała miernotę? Ja sam pierwszy uciekałem do kina.

Cóż mieli robić w takim teatrze zaangażowanym na robotę eksperymentalną w studio, które oczywiście nie zostało zrealizowane, — młodzi reżyserowie?

Józef Mayen, uczeń Jessnera i Hartunga, aspirant reżyserki scen niemieckich w Darmstadtzie i Berlinie, realizator „Makbety” (za dykcją H. Barwińskiego), nie mógł w ubiegłym sezonie dopiąć tego, do czego zmierzał. Dawano mu do reżyserji banały w rodzaju „Gdy kobieta zapraśnie” Savoir'a — wówczas gdy przygotowane przez Mayena reżyserio i muzycznie „Nieboska komedia” oraz „Pippa taniec” nie urzały światła sceny łódzkiej, „Pippa” zatańczyła dopiero w Lublinie, dokąd Mayen wyjechał „na Saxy”, a gdzie mu dano więcej swobody: jeszcze dowód, że w Łodzi pracować można tylko na wywóz.

Tak samo Jerzy Walden, młody, ciekawie zapowiadający się reżyser, przez cały rok musiał terminować na rozmaitych „Kłopotach geniusza”. Zaledwie raz — na poranku Wyspiańskiego — w bardzo zresztą szczupłych ramach mógł rozwinąć własną inicjatywę i pomysłowość.

Ostatecznie Marek Szacki, w „Scenie Robotniczej”, miał jeszcze najlepsze warunki pracy. Wystawienie trypetyku „Człowiek jest dobry” i próby z „Burzycielami maszyn” Tollera pokazały, że Szacki umie doskonale rytmizować zbiorowe sceny.

Sumując powyższe pozycje, otrzymujemy — deficyt. Dorobek indywidualny poszczególnych artystów nie wpływa bynajmniej na ogólny rozwój estetyczny Łodzi, zresztą nikt się tu nim nie interesuje. Niema w Łodzi miejsca dla artystów. Tu można mieszkać — tworzy się poza Łodzią i bez Łodzi. Stan taki potwać może jeszcze długie lata — chyba że zasadniczo zmieni się ustosunkowanie sił społecznych, z przewagą inteligencji: o tem dziś nawet marzyć nie można. — Rozpoczęto w Łodzi nareszcie roboty nad kanalizacją miasta: kiedyż rozpocznie się praca nad kanalizacją umysłowości łódzkiej? Mogłaby tego dokonać jeno uczciwa, a zasobna w środki pieniężne prasa, nie uganiająca się za zyskiem natychmiastowym. Ale gdzie dziś znaleźć takiego naiwnego mecenas? — Nie ludźmy się. Niema miejsca na sztukę w Łodzi. Złe miasto.

Witold Wandurski.

nr. 15 „N A O K O Ł O Ś W I A T A” nr. 15

Wydawnictwo GEBETHNER & WOLFFA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH

Cena zł. 2.50

Kronika paryska

Nowa książka Colette

Z Colette ma się rzecz trochę, jak z Boyem. Pierwsze utwory pieprzne, owiane atmosferą lekkiego skandalu, wycisnęły na nich raz na zawsze stem-pel pisarzy „nieprzyzwoitych”, tylko dla dorosłych, czytanych ukradkiem przez młodzież. Im dalej jednak, tem wyraźniej pisarce ci ukazywali właściwe swoje oblicze. Z Boyem już jest sprawa skończona, o jego „powadze” nikt nie wątpi, bezapelacyjnie zajął on jedno z najwyższych miejsc w naszym literackim synhedryonie. Podobny proces (nie zestawiam tych pisarzy pod względem merytorycznym) ma się na ukończeniu we Francji w stosunku do Colette. Ona zaś tej ustalającej się opinii, z właściwą sobie dezynwolturą i hardością, gwizda prosto w nos, występując w music-hallu.

Miałam sposobność widzenia jej ostatnio na scenie „Music-Hall des Champs-Élysées”. Publiczność z zainteresowaniem powitała popularną pisarkę: „Madame Colette, voici madame Colette” — zasumowało po sali, kiedy ukazała się na scenie. Potem oklaski. Biedna paryska publiczność nacierała się srodze za swój przedwczesny entuzjazm. Colette zarzuciła taniec i pantomimę, zrezygnowała z sukcesów scenicznych, które ją, podobno, większą przejmowały dumą, niż sława literacka. „Jestem już teraz tylko literatką, która się rozżyła” — powiedziała smutnie tym wszystkim ludziom, wpatrzonym w jej nieco już ocieziałą postać, beztrosko opuszczoną dolną szczęką, młode brązowe — złociste włosy i twarz młodą, docipną, poważną. Jej ciepły piersiowy głos, kryształowa dykcja, brak wszelkiej — o dziwo! — miniderji i ogromna niewytłumaczona trema nawiązywały odrzuć żywy, serdeczny kontakt między nią i słuchaczami. Cóż, kiedy większość, słuchając jej słów cyzelowanych i kunsztownych, mieniących się subtelną modulacją myśli, drgających powściągliwym uczuciem, błyskających czasem wytwornym, niedostrzeżalnym docipem, poczęła się wkrótce nudzić. To ma być nieprzyzwoite? Poto się przychodzi do music-hallu? „To za ciężkie dla mnie” — powiedziała moja sąsiadka. To też, gdy po ciekawym rozważeniu: „Odwrotnej strony music-hallu” i wspaniałym monologu „Kota, któremu

się zdaje, że jest diabłem”, Colette wyrecytowała monolog „Malutkiej suczki, która zrobiła pipi na dywan”, sala ryknęła śmiechem z wdzięczności za sam tytuł. Ale obydwa monologi, które są poprostu arcydziełami, przeszły bez wrażeń. Z napięciem zato wysłuchano wspomnień z music-hallu, opowieści o



COLETTE

zagadkowym panu, który się popisowywał dwoma wytwornymi, niedostępnymi, jak i on, psami; nigdy z nikim nie mówił; raz tylko powiedział do Colette, co, pozyskawszy sobie sympatię jednego z psów, włożyła mu rękę do pyska: — „Jeszcze mu nie kazalem ścisnąć zębów”. Oklaskiem przyjęto historię o uwiedzionej baletnicy, której dziecko leżało w wózku za sceną. Matka po skończonym numerze biegła je karmić, z pośpiechu w pozie baletnicy, pochylona, z jedną nogą w powietrzu. „Był to jeden z najpiękniejszych i najwznioślejszych obrazów, jakie widziałam w swoim życiu” — powiedziała Colette.

Pięknie też, a często i wzniośle, brzmiały jej słowa w tym gmachu płyt-

kiej i przelotnej przyjemności, tylko, że jeżeli ostatecznie music-hall pasował do Colette, to ona nie pasowała do music-hallu, i natrętnie przypominało się nasze polskie przysłowie — o perlach i wieprzach.

Ale miałam pisać nie o Colette, tylko o jej ostatniej książce. Nazywa się: „Aventures quotidiennes”. Można ją określić jednym słowem — to jest książka mądra. Zbiór luźnych feljetonów, po dziennikarsku poczętych, z różnych „powodów”, wypadku automobilowego, czy nadejścia wiosny, dał sposobność do zobaczenia tej istotnej, tej zamysłowej twarzy Colette. Może to wiek, może płodnie przeżyta samotność (jakże niewielu pisarzy tak zna samotność, jak ta światowa pisarka) nasunęły te tak własne, tak oryginalne uwagi o rzeczach codziennych i najcodzienniejszych. I znów nasuwa się zestawienie z Boyem, z jego krytykami teatralnymi, balast erudycji, filozofii, metody literackiej, czy dziennikarskiej — fi-donc! Chodzi przecież „tylko” o to, żeby kwestię uchwycić, jak harpunem, pod zebro, wyciągnąć, zrzęcznie rozplatać, elegancko sparować, pokazać, co należy, aż do samego końca, i to pokazać pięknie, w cyzelowanej oprawie, a potem usmiechnąć się i powiedzieć: „O, to nie wielkiego”.

Kto tak zna zwierzęta, jak ona! Twierdzi stanowczo: można znać psa i kota równie dobrze, ale nigdy lepiej, niż Colette. Kto znalazł w języku ludzkim tyle niespodzianych odpowiedzi dla najmniej uchwytynych gestów, ruchów i poruszeń, myśli i uczuć zwierzęcych. To jest wielki i trudny kunszt. Jakże rzadko, zwłaszcza w naszych urbanistycznych czasach, jest jej znajomość przyrody, nie ładnych widoków, ale życia roślin i kamieni. W ostatniej jej książce opis kwiatów, wracających w wodzie do życia, można porównać jedynie do piękności przyrodniczego filmu, ukazującego w przyspieszonym tempie rozwój rośliny — o którym w teście książce Colette tak ciekawie mówi rzeczy. Jej mądre uwagi o wychowawstwie mogłyby pozostać w literaturze pedagogicznej. Nieporównany wdzięk i urok stylu do-dają spokojnego czaru tej mądrej książce.

Irena Krzywicka.

Powieść i nowela

Biblioteka Narodowa. Serja I. Nr. 84. Zygmunt Kaczkowski. Mordeljo. Powieść. Opracował dr. Zygmunt Szweykowski. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1925; str. XXIV i 443 i 3nl.

Wydanie „Mordeljo” Kaczkowskiego oparł dr. Zygmunt Szweykowski na edycji petersburskiej z r. 1853; dla uzupełnienia ustępów obciętych przez cenzurę, czy też wyrzuconych przez samego autora, posługiwał się także tekstem drukowanym w „Gazecie Warszawskiej” w latach 1852—1853. We wstępie zaznacza wydawca, że dzisiejszy tekst „Mordeljo” nie jest jeszcze tekstem pełnym. Oczywiście tylko odnalezienie przez jakiegoś szczęśliwego badacza zaginionego rękopisu pozwoliłoby ustalić z całą pewnością zgodne z zamierzeniami autora brzmienie powieści. W dzisiejszych jednak warunkach wydanie „Biblioteki Narodowej” daje tekst możliwie najpełniejszy i najstaranniej opracowany. Dr. Szweykowski podkreśla we wstępie tendencję przeciwstawienia się Rzewuskiemu, jako jeden z głównych czynników powstania „Mordeljo”; wprowadzając do powieści zupełnie nowe środowisko, gwałtowną i burzliwą szlachtę sanocką, przypominającą niekiedy bohaterów „Pana Tadeusza”, Kaczkowski występuje, zgodnie z tendencjami współczesnej powieści, przeciwko zgubnemu wpływowi racjonalizmu, ale nie oszczędza także (i to przedewszystkiem) indywidualizmu romantycznego. W. XVIII nie jest jednak dla niego idealną erą wieków średnich. W przeciwieństwie do „Listopada” Rzewuskiego społeczeństwo „Mordeljo” nie ginie zniszczone siłą zewnętrzną, lecz psuje się raczej od wewnątrz. Pesymistyczny nastrój powieści potęguje się jeszcze wskutek niedolności do humorystycznego ujmowania zjawisk, które tak łagodzi perspektywę w „Pamiętnikach” Rzewuskiego i w „Panu Tadeuszu”. Najważniejszą zdobycz „Mordeljo” stanowi — zdaniem dr. Szweykovskiego — umiejętność zespolenia kompozycji romanu ze stroną obyczajowo-społeczną. Kaczkowski mnej ma zasług od Rzewuskiego, który stworzył przecież nowy typ powieści; niemniej dopiero w „Mordeljo” znajduje literatura polska „romans” historyczny.

Na uwagę zasługuje wielka ekonomia objaśnień, uzupełniających mimo to niejednokrotnie analizę powieści.

niepotrzebne informacje, wykazy registratora i t. p. balast, i skondensować treść — otrzymałoby się rzecz nie ustępującą najlepszym stronicom Dygasińskiego.

Zdzisław Kleszczyński. Białe noce. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 215 i 1nl.

Największym wrogiem talentu jest t. zw. łatwość pisania, o ile dany autor pozwala jej się ponieść. Rutyna łatwego przeczucia myśli na papier różni się od rzemiosła pisarskiego we właściwym znaczeniu tego słowa tak, jak człowiek przeciętnie wygadany różni się od mówcy. Można doskonale opanować technikę wiersza i być złym prozaikiem. Ale u poetów dodatkowo jeszcze daje zauważyć się pewne lekceważenie prozy i brak zdecydowanego wysiłku ku osiągnięciu rezultatu wyższego ponad zwykłą poprawność dziennikarską.

„Białe noce” należą do tych złych powieści, jakie często wychodzą z pod pióra dobrych poetów. Jest to produkt feljetonowy. Gdyby nie pewna potoczność i rutyna w obrazowaniu, trudnoby przypuścić, iż „Białe noce” pisał utalentowany poeta, a nie jeden z tych amatorów, których w takiej obfitości wytworzył okres panowania „dokumentu życiowego” w powieści.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor Stanisław Lam. Tom XXXV. Edward Li-gocki. Hamlet i Carmen. Warszawa, (1925); str. 140 i 4nl.

Byłoby rzeczą bardzo ciekawą i pouczającą, gdyby ktoś, obdarzony w równej mierze humorem i wnikliwością, zajął się tym ogromnym dziełem produkcji powieściowej, przeznaczonym dla t. zw. „szerokich kół” czytelników. Właściwie niema czego narzekać się i szydzić. Owe szerokie koła zawsze znajdą odpowiednich sobie pisarzy i odpowiednie utwory. Jest to zjawisko nieuniknione w literaturze, tak jak np. instytucja hien wyborczych jest nieunikniona przy ustroju parlamentarnym. Jedyne co pozostaje do zrobienia — to oddzielenie podobnych objawów od właściwego życia literackiego — należyte a bezstronne zbadanie powieści („z życia wyższych kół towarzyskich” byłoby tu bardzo pomocne. Oręź parodii, tak świetnie użyty przez p. Magdalene Samozwaniec, działa tylko w jednym danym wypadku — na dłuższą metę traci znaczenie. Nie należy bowiem zapominać o zdolnościach rozwojowych kierunku, a raczej umiejętność przystosowania się do pewnego poziomu, umożliwiającego uwodzenie niewyrobionego czytelnika. Maruderzy literatury, wiecznie jednacy w swej istocie, są zarazem i zawsze odmienni, jeśli idzie o formę. Pod tym względem od czasów „Historji o królewnie Banialuce” do naszych dni odległość jest olbrzymia.

Uwagi te szczególnie gwałtownie nasuwa powieść p. Li-gockiego, zarysująca jednocześnie o literaturę i operę. Wystarczy porównać pod względem formalnym „Hamleta i Carmen” z którąkolwiek z powieści p. Heleny Mniszek, aby ocenić ogromny postęp (mówimy to bez ironji) w złożoności typów, skomplikowaniu wypadków i t. d. Wobec ponurych linijczych znakomitości rywalu Balzaka p. Mniszek sprawia wrażenie dziecięcia naiwnego i bezbronnego.

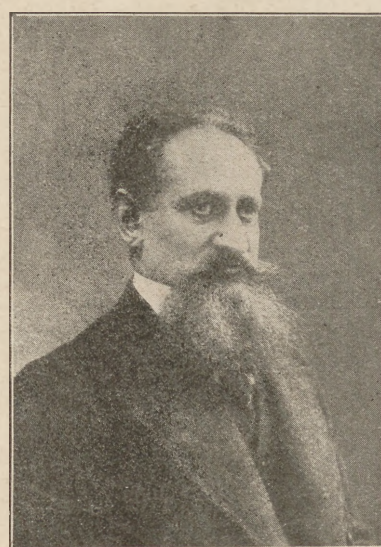
Co jest naprawdę obrzydliwe w tej „wyborowej” powieści, to sposób, w jaki p. Li-gocki obchodził się z Hamletem Szekspirowskim. Zaciekleść parodystyczna jest rzeczywiście posunięta do manjaktwa. Jednakże pokrzepiający moral, płynący z kart książki, udziela się i ciężko doświadczonemu czytelnikowi. Cnota otrzyma nagrodę, a zło będzie ukarane. Wierzymy, iż p. Li-gocki znajdzie kiedyś swoją Magdalene Samozwaniec.

Tragedja o Ciceronie

Biblioteka Teatralna. Jan Olesza (Stanisław Aleksander Kempner). Trybun. Sztuka w trzech aktach z epilogiem, poprzedzona przedmową autora. Warszawa, (nakładem autora), 1924; str. 80.

Autorem tej trzyaktowej sztuki-tragedji jest niedawno zmarły, a tak szczerze żalowany, redaktor i profesor Stanisław Aleksander Kempner. Wydana pod pseudonimem, troskliwie ukrywany, odbijająca się formą od wszystkich innych utworów zmarłego, praca ta powinna zwrócić uwagę.

Patrzyłem zbliska na schyłek życia tego bardzo utalentowanego, bardzo wybitnego dziennikarza, publicysty, uczonego i niegdyś redaktora wielkiego dziennika — choćby na naszą skromną modłę. Patrzyłem na te ostatnie lata jego życia, kiedy po tumulcie dziejowym, w przeobrażonych stosunkach i warunkach, pozostał on jakby na marginesie czynnych sił twórczych społeczeństwa. Przegrał znaczną, ale niepoziomą kam-



ST. A. KEMPNER

panję, jaka przez lat wiele prowadził w imieniu swych współplemieńców, którzy go odeszli; był pokonanym wodzem asymilacji. Oderwany od swego poważnego i ulubionego zajęcia kierownika wielkiej gazety, zmuszony do ciężkiego zarobkowania piórem i wykładami, trawiony ciężką chorobą, nie stracił odwagi, nie dał się złosić łosowi. Zachował energię lat młodych, świeżość myśli i wielostronność zainteresowań, żył zagadnieniami swego czasu — pisał, wykladał. Bez goryczy, z entuzjazmem pracy — ten skazany na rychłą śmierć człowiek żył tak, „jak gdyby nigdy nie miał umrzeć”, wedle pięknej formuły moralisty i pracownika. Był pięknym wzorem duchowej odporności. A w ciągu kilku wymuszonych dni kradzionego samemu sobie wypoczynku, wśród fizycznych cierpień, któreby każdego innego zniechęciły i znieczyliły do pracy — ten ekonomista i znawca gospodarstwa napisał — jako Jan Olesza — dramat.

Jest to dramat upadku historycznej wspaniałej postaci, zmożonej przez przemoc, pasującej się do ostatniej możliwości z nadchodzącą falą zagłady. Marcus Tullius Cicero, trybun, ostatni z Brutusem bojownik o prawo republiki, doznał się zdrady Oktawiana, swego chwilowego sojusznika, i proskrypcji. Ale choć już zwątpił, jeszcze nawołuje Antoniusza — wcielanie tyrani — do uszanowania republikańskich swobód i odrzucania nieprzejmowanej ugody, jeśli cnota jej ma być milczeniem i usankcjonowaniem gwałtu. Później, na forum, wśród zgłębku odruchów tłumy, chce jeszcze ostatnią fili-pinkę zgłębaliwować sumienia Rzymian, już zdemoralizowane, już zmęczone nieskuteczną walką, zastraszone oczekiwaniem zemsty Antoniusza i przygotowane do wszelkiej pokory. A proskrybowany, z rezygnacją miedra i gorczą zawiedzionego wodza, czeka w swej willi pod Gaeta na ostatni gest losu — wie, jaki on będzie — i podniósł trybem ostatnich wyrzeczeń ocenia swe bankructwo miłośnika starożytności cnoty i wolności. Coś z tchnienia Plutarchowej opowieści zostało w tym dramatyzowanym dialogu Jana Oleszy i przypomina starego trybuna, jak „z brudnymi włosami i brodą, z twarzą zmęczoną, właściwym sobie ruchem lewej dłoni podparł podbródek, utkwiał oczy w zbliżających się siepaczy” — i zginął.

„Trybun” nie jest utworem dramatograficznym. Niema tu plastyki: jest widoczna przewaga stylu kontemplacyjnego i rozumowania nad obrazowaniem. Jest to utwór z rodziny „książkowych dramatów”. Wieleletnie przyzywania pióra mają swoją dozę despotyzmu. Ale wymowa myśli i wymowa sytuacji różnie czasem aż do rzetelnego dramatycznego efektu, a drugi — słowna walka na forum z tłumem i jego chwiejnością — posiada wszystkie cechy scenicznej wyrazistości. Szlachetny idealizm bije z tego utworu — świadectwa autorskiej różnorodnej erudycji, podniosłości myśli i piękności wyrazu.

10.

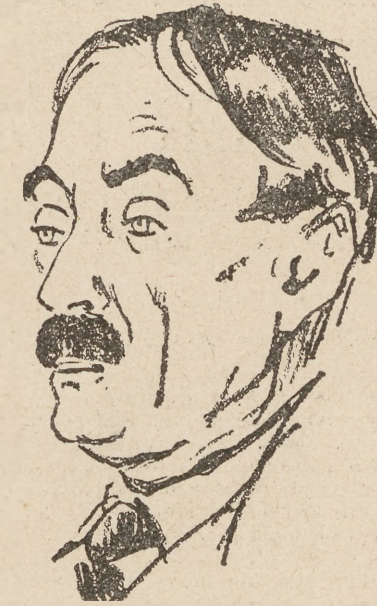
Paweł Valéry o międzynarodowości literatury

Na międzynarodowym zjeździe literackim w Paryżu (por. nr. 80 „Wiadomości”) z poróż mów wygłoszonych podczas bakiety odznaczało się docipem i oryginalnością przemówienie Pawła Valéry. Podajemy je w streszczeniu.

Wyraziwszy podziw swój dla zgromadzenia, łączącego tyle wybitnych osobistości tylu narodów, doznaje przecież mowca uczucia zdumienia, że wywołała je literatura, a więc sztuka, która, jako oparta na języku ojczystym, polega na rozwijaniu tego, co właściwie najostrejsze — najboleśniej może — dzieli jeden naród od drugiego!

Jak wytłumaczyć sobie zebranie tych, którzy w każdym narodzie pracują z natury rzeczy nad podtrzymaniem, umocnieniem, wydoskonaleniem najwydatniejszych wzajemnych przeszkód i różnic? Valéry tłumaczy to cudem miłości, miłości, jaką zapłonęły ku sobie wzajemnie różne literatury. A więc Rzym Wergiliusza dla Grecji Homera, Francja dla Włoch za Ronsarda, dla Hiszpanji za Kornela, dla Niemiec za romantyzmu (możemy dodać: Polska romantyczna dla Anglii Byrona, Młoda Polska dla Francji Baudelaire’a i t. p.), wszystkie zresztą powracając co czas pewien do tych kochanych wypróbowanych, jakimi były i zostały Grecja i Rzym. Te rozkochane literatury szukają się i pożądamy wzajemnie. Ale kochankowie obejmują zawsze to, czego nie znają, i nie byłoby miłości bez tego nieznaj-

mości, która nadaje właśnie ową nieskończoną wartość przedmiotom kochania. Otóż najgorętsza miłość dwóch obcych



PAWEŁ VALÉRY

sobie języków nie może doprowadzić do posiadania zupełnego, niezaprzecznego; posiadać wypunktów, niezaprzeczalnych odien-

sensu, jakieś odrzucenie subtelne. Ale co za żniwo z tych nieskończonych pieczęci! Z jednego Szekspira rodzi się dwudziestu, inny w każdym narodzie, albo i po kilku w jednym: Szekspir Woltera różni się od Szekspira Wiktora Hugo (dodajmy: tak jak Kornelowy „Cyd” Morstyna od „Cyda” Osińskiego, a ten od „Cyda” Wyspiańskiego). Cóż za cudowny wynik niepełnego zrozumienia!

A oto końcowy podniosły ustęp przemówienia:

„Pozwólcie mi, panowie, na zakończenie, przypomnieć wam myśl człowieka, którego nieskończenie kochałem i wielbiłem namietnie. Mallarmé, o którym wiecie z jaką głębokością patrzył na sprawy literatury, urobił był sobie całą metafizykę naszej sztuki. Nie mógł on pogodzić się z tem, żeby uważać ją za zwycaijną rozrywkę, jakiej pisarze dostarczają publiczności. Ale myślał z całej swojej duszy, że świat nie może mieć innego przedmiotu, jak ten, żeby wydać w końcu zupełny swój wyraz. „Świat — mówił — na to jest, żeby dojść do pięknej książki”. Nie znajdował w nim innego sensu i myślał, że skoro wszystko musi się na ostatku wyrazić, ci wszyscy, którzy wyrażają, wszyscy, którzy żyją dla powiększenia możliwości mowy, pracują nad tem wielkim dziełem i wykonywają, każdy jakąś drobną jego część. Ta książka, panowie, jest we wszystkich językach. Piję za tę piękną książkę!”

jm.

Kilka dat z życia Piotra Louys

Wszyscy znają u nas, jeśli nie w oryginalnie, to przynajmniej z przekładów, te rozkoszne arcydzieła zmarłego przed kilkoma miesiącami pisarza: „Pieśni Bilitis”, „Afrodyta”, „Kobieta i pajac”. Ale mało komu zapewne wiadomo, że pierwsza z tych niezapomnianych książek wyszła z pod pióra młodzieńca dwudziestoczteroletniego, druga ukazała się w dwa lata później, trzecia w dwa lata po drugiej, a „Przygody króla Pauzola”, napisane w trzydziestym pierwszym roku życia, były ostatnim większym dziełem Piotra Louys. Jeszcze zbiór artykułów i nowel, a potem dwudziestoletnie milczenie, w samotności, przy zapuszczonych w dzień firankach, w dymie niegasnącego papierosa, w towarzysztwie książek, pamiętek, rozmyślań nad poezją... I śmierć zmęczonego serca, ostatni nieprzebudzony już sen tego, który za życia spał ledwie jedną noc na trzy.

Mało kto też wie pewno, że ten pi-

sarz „swawolnej” sławy był jednym z najszlachetniejszych, najczystszych ar-



PIOTR LOUYS na tożu śmierci

tystów ostatnich pokoleń, że najlepsi ulegali jego czarowi.

W r. 1891, mając lat dwadzieścia, założył był „Konchę”, miesięcznik poetyc-

ki, którego każdy numer otwiera niewydanym wierszem jeden z największych poetów epoki: Leconte de Lisle, de Heredia, Dierx, Mallarmé, Verlaine, Moréas, Swinburne, Maeterlinck, H. de Régnier... Współpracuje tam Andrzej Gide. Tam drukuje pierwsze swoje utwory Paweł Valéry, chwala dzisiejszych muz francuskich, którego (według własnych jego zwierzeń) Piotr Louys popchnął ku poezji.

A ojciec całej muzyki nowoczesnej, wielki Claude Debussy, jego to długoletniej czynnej przyjaciółni zawdzięczał i umysłową kulturę i zwycięskie usunięcie przeszkód materialnych, słowem — najcenniejsze oparcie swej kariery.

„Podczas kiedy mnożyły się we wszystkich językach wydania „Afrodyty”, „Plochy” jej autor w odosobnieniu czytał „Naśladowanie”, przekazując nam w pośmiertnych papierach wianek „Poezji”, „Poetykę” i „Dziennik poety”... jm.

Ruch teatralny

Teatr Mały: „Złota ciocia”, komedia w 3 aktach **Pawła Gavaulta**; reżyseria **Ludwika Fritschego**.

Nienawisć moja do fars francuskich osłabia. Już mi jest wszystko jedno. Pogodziłem się losem. Germaine’y i Albertynki nie budzą we mnie gniewu. Potrafię patrzeć spokojnie, jak kochanka przyjaciela przedstawia się za żonę siostrzeńca i odwrotnie. Z zupełnym spokojem, a nawet — przyznam — z lekkim uśmiechem patrzę na lokaja panoszącego się w domu pod nieobecność pana.

Najświeższy żart w „Złotej cioci” polega na tym, iż przyjaciel, chcąc się pozbyć przyjaciela, fałszuje depesze donoszące o śmierci kochanej ciotki. W życiu podobny dowcip kończy się mordobiciem, w sztuce, niestety, tego nie było. Wogóle w życiu dzieje się wszystko znacznie lepiej. Kiedy młodzi kochankowie zostają, nareszcie sami, tylko czasem przyjeżdża ciotka z prowincji, tylko czasem wpada przyjaciel, a za nim jego kochanka, — w farsie zaś zdarza się to zawsze — nieodmiennie, miazdząco zawsze. Farsy francuskie

przypominają mi grę w „szewca”. Czem dalej gra jest posunięta, tem trudniej znaleźć wolną krótką. Farsa francuska jest jak moda kobieca: wszystkie kombinacje są wyczerpane. Już zakrywano nogi i odsłaniano plecy, zasłanianie ramiona i odkrywanie kolana. Niema rady — zostało tylko jeszcze zakrywanie twarzy i odsłanianie części ciała dotąd jeszcze ukrywanych na pasek, a właściwie poniżej paska. Francuska farsa robi tak właśnie, i to — okazuje się — również nie jest zabawne.

Jeżeli porównałem sztukę, wystawioną w Teatrze Małym, do gry w szewca — zamknąłem w tem określeniu również poziom gry aktorów. Maszyski i Mordzewski stanowili może wyjątek. Ale niewiadomo pogo komu potrzebne. Jeśli to było przeznaczone dla t. zw. publiczności, ona, zdaje się, zapomniała o tem. Wszystkim, którzy wybierają się na sztukę Gavaulta, radzę poczekać do września — we wrześniu bowiem będzie wyświetlany w Warszawie nowy film z wielkim Charlie Chaplinem.

Antoni Słonimski.

Korespondencja

Irzykowski a kino.

Do redaktora „Wiadomości Literackich”.

Ponieważ p. Irzykowski nie zyczy sobie kontynuowania polemiki, zapoczątkowanej przez „Filmę”, pozwalam sobie — zamiast artykułu — przesłać tylko tych kilka uwag.

Jako osobie stojącej zdala od obydwu polemizujących jest mi obojętne, czy p. Irzykowski w artykule swoim „Chwałom lichego towaru w odpowiedzi” („Wiadomości”, nr. 79) zważył argumenty p. Bruna, czy też tego nie zrobił. Nawiaćem mówiąc, mam wrażenie, że „wykreślił się sianem”, nie odpowiadając na pierwszy artykuł „Film” (w nr. 5 „Kilka słów o krytykach, czyli jak p. Irzykowski „wdepnął”, którego autor — moim zdaniem słusznie — wymaga od krytyki filmowej, ażeby orientował się w tem, jakie wytwórni i jacy reżyserzy, a nawet aktorzy mogą mu dać gwarancję artystycznej wartości filmu, a nie szukać poomacku, do jakiego kina „wartoby” pójść. Narazie chodzi mi o rzecz inną: o stosunek p. Irzykowskiego do t. zw. przez niego pogardliwie „gwiazdora”, czyli aktora filmowego, i jego roli w kinie. Może być, że w przyszłości kino będzie się obchodziło bez aktorów, zastępując ich marionetkami lub jakimiś trzucami rysunkowemi, może być, że odbiegnie zupełnie od realizmu dzisiejszych filmów amerykańskich, ale przecież nie odbiegnie od — życia. A z życiem wiąże się przedewszystkiem człowiek (bez względu na to, czy w ekspresjonistycznym ujęciu „Caligario”, czy — naturalistycznym Griffitha). Poza wartościami plastycznymi — ruchowemi film musi dawać jakąś żywą treść ideową, tak samo jak musi ją dawać książka, poza wartościami stylu i języka (do hasła „sztuka dla sztuki” dawno już odbiegliśmy). Czyżby odpowiadały temu zadaniu jedynie „nadprogramowe” farsy, których p. Irzykowski jest takim zwolennikiem? Gdzież w nich ta „literackość”, której p. Irzykowski — i słusznie — domaga się od scenarzysty filmowych. Na dzieściu może zaledwie dwaj zdradzają współudział ręki, a raczej głowy literata: reszta to stek najzupełniej bezsensownych, mechanicznie powtarzanych (efekty wypróbowane „kawałów”). Nie wiem, czy nawet p. Irzykowski nie znużyłby się wreszcie, gdyby mu zawsze pokazywano jedynie tego rodzaju sztuczki, choćby nawet niektóre z nich były doskonałe. Ich skala jest zbyt ograniczona, gdyż, jak dotąd, nie wychodzi poza cyrk, groteskę i karykaturę. (Cóżby powiedział p. Irzykowski, gdyby jakaś literatura składała się tylko z utworów humorystycznych?) A może zwierzęta wyrzuć z filmu aktora?

Jednak film francuski („Zwierzęta jak ludzie”), wykonany całkowicie przez „trupę” tresowanych zwierząt, był tylko bardzo ciekawym eksperymentem; w drugim wydaniu wątpliwe — czy mogłoby zainteresować.

Nie przesadzam przyszłości; możliwe jest, że kino pójdzie po linii rozwoju przewidzianej przez p. Irzykowskiego,

Nie wiem, czy — jak chce p. Brun — p. Irzykowski jest wrogiem kina, ale faktem jest, że p. Irzykowski dzisiejszej muzy (prócz swej książki oczywiście) nie lubi. Jak się to mówi — nie ma dla niej serca. Dla innych jest ona naprawdę — muzy. Dla p. Irzykowskiego jest tylko obiektem do wivisekcji, po której zostają krwawe szczątki. A muzy wolą czasem naiwność poetów, niż — rozum mędrców.

Zoja Halicka.

M. P. w Łodzi. Ukaże się w połowie września i będzie wychodził regularnie co miesiąc. — Adres p. Tuwima: Chłodna 6, p. Horzycy; Flory 1.

B. Pał. Opóźnienie to wynika nie z winy redakcji; spis, o który Szanowny Pan pyta, ukaże się napewno.

R. Z. w Poznaniu. O konkursie nie wiem.

A. Ch. Zdaje się, że tłumaczył. O ile sobie przypominamy, poezje te, były częściej umieszczane w warszawskim „Widokregu” i bodaj krakowskich „Makach”. Ale nie ręczymy za ścisłość.

N. St.-J. Adres p. Wielopolskiej: Poznańskie, poczta Pałedzie, majątek Sierosław. — Trudno nam teraz sprawdzić, czy kartka wyborcza Szanownej Pani nadeszła.

J. G. Redakcja „Kurjera” za te rzeczy nie może brać odpowiedzialności, my zaś — z łatwo zrozumiałych względów delikatności — nie możemy tego rodzaju „literatury” wysyłać.

J. L. w Kielcach. Dziękujemy.

Książki najgorsze

Na zgłiszczach. Dramat w 3 aktach z prologiem. Napisał **Franciszek i Marian Kolasinscy**. Drohobycz, B. Kolasin-ski, 1925.

„Centurjon:

Czemu tak kiwasz głową,
Stary kurczaku!
Widzę, że chcesz na nowo
Wisieć na haku.

Wespażan:

Bacz, bym ci nie dał
Nożem w twarz,
Ty nosicielu śmierci.
Na masz — na masz!”

Zaraz w pierwszej scenie dramatu widzimy pewną przesadę w traktowaniu postaci historycznych. Dowiadujemy się, że Wespażan już raz wisiał na haku (?) i przez to widać stracił szacunek u podwładnych, którzy go bezceremonialnie nazywają „starym kurczakiem”. Myślę, że prościej byłoby mówić „Kuro!” lub „Koguciel!”, ale pewnie nie dość poetycznie. Bracia Kolasinscy wyrosli już z wieku kurczęcego, zachowali jednak w głowie salętę od kurczęcia. Dwaj mili braciszkanie niewiele sobie robia z historii i lekceważą prawdę dziejową.

„Wespażan:

Hej, czarownico, gębę stull!
Nie straszna mi broń wroga.
Ja się nie boję świstu kuli!”

Oczywiście w czasach Wespażana kłóży się bał świstu kul — kiedy nie było broni palnej.

Historyczna tragedia kończy się bardzo dramatyczną sceną śmierci dwu braci Rzymian na polu bitwy. Rannych wydaje wrogom zdrójca — stary wyzwole-niec — i tak mowi:

„Oto jest zemsta ma za wasze zbytki.
Za strój rozpustny i krzywdy biedaków.
Za krwawe uczty, za obyczaj brzydki,
Dzisiaj wydaję was w ręce żołądków”.

Jak łatwo się domyśleć, dwaj Rzymianie — to bracia Kolasinscy, a stary — to ich ojciec, B. Kolasin-ski, który wydał ich dramat. Szkoda, że „za zbytki” nie ukażą swych synów w sposób znacznie prostszy, lecz skuteczniejszy. Mamy na myśli t. zw. „wały”.

bt.

Camera obscura

Żydowska intryga.

„Nasz Przegląd” (nr. 202) donosi:

„Niemieccy pływacy w Szwecji.

Ekspedycja niemieckich pływaków i pływaczek udała się w ub. tygodniu do Kopenhagi na tamtejsze zawody pływackie”.

Żydowskie pismo „Nasz Przegląd” z tajemniczych powodów kolportuje wiadomość o tem, jakoby Kopenhaga znajdowała się w Szwecji. Oczywiście nie jest to ani zwykła omyłka, ani nieświadomość. Chodzi prawdopodobnie o to, aby ekspedycja niemieckich pływaków, zmyłona tą wzmianką, pojechała do Szwecji, szukając Kopenhagi. Tymczasem „Makabi” zdobył się na zawodach pływackich pierwsze miejsce. A może to nie chodzi o Kopen — tylko o Hagę i o Ligę Narodów? A jeśli zważy się jeszcze, że wiadomość ta była podana w nr. 202 pisma (rok 202 — zwycięstwo Scypiona afrykańskiego nad Hannibalem pod Zama) i akurat w dzień spadku złotego polskiego... wtedy po przeczytaniu tej pozornie niewinnej wzmianki oczy nam się otworzą na wiele tajemniczych stron historii narodu żydowskiego.

„Kociół garkuchniom przygania, a sam smoli”.

W nr. 198 „Rzeczypospolitej” pisze p. Junoszy-c:

„Mému” po francusku.

Nasze restauracje mają, jak to wie każdy, jadalnisz drukowane w dwu językach: po polsku i po francusku...

Ale jeśli się drukuje „mému” i po francusku, to można by postarać się o dobre tłumaczenie nazw potraw, o poprawność języka i ortografii...

Biorę oto „mému” jednej z restauracji przy Nowym Świecie...

„niema wprost dania, któreby było wydrukowane poprawnie po francusku. Przynajmniej urw gdzieś „s” lub dopiszaj niepotrzebne „e”, przynajmniej źle postawia akcent, ale bez błędów „mému” nigdzie nie widziałem”.

Jadłospisy w restauracjach pisane są czasem kłopską francuszczyzną, ale p. Junoszy-c poszedł jeszcze dalej i swoją wzmianeczkę napisał bardzo źle po francusku i bardzo źle po polsku. Skarży się on: „Przynajmniej urw (?) gdzieś „s” lub dopiszaj niepotrzebne „e”, przynajmniej źle postawia akcent, ale bez błędów „mému” nigdzie nie widziałem”. Za takie „urwia” powinno się p. Junoszy-cowi urwać ucho i dołożyć coś jeszcze za to, że słowo „menu” jest cztery razy powtórzone i za każdym razem z błędem.

Informacje bibliograficzne

dostarczone przez księgarnię E. Wende i S-ka

powieść, nowela

Biblioteka Dziel Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam**. Tom XLIV. **William Caine**. Wielki Mendoza i mała senorita. Przełożona z angielskiego **R. Czenterszwierowa**. Tom I. Warszawa, (1925; str. 150 i 3nł. Zł. 2.20 (pl.).

Irena Mrozowicka. Za klasztorą fur-tą. Powieść dla młodych panienek. Lwów, „Ateneum”, 1925; str. 157 i 3nł.

Biblioteka „Tygodnika Ilustrowanego”. Tom XV. **Bolesław Prus (Aleksander Głowacki)**. Pisma. Tom szesnasty. Lalka. Powieść w trzech tomach. Wydanie nowe. Tom II. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1925; str. 205 i 3nł.

Biblioteczka Pisarzy i Kłasyków Żydowskich. 7—8. **Szołem - Alechem**. Porada. Przeł. **S. W-an i M. Holcblatt**. Warszawa, „Orient”, 1925; str. 98 i 2nł.

Utwory dramatyczne

Biblioteka Teatrów Amatorskich. Nr. 162. **Irena Mrozowicka**. Babska polityka. Sztuka ludowa w trzech odsłonach. Lwów, „Odrodzenie”, 1924; str. 40.

Kino

Pola Negri. La vie et le rêve au cinéma. Paryż, Albin Michel, (1925; str. 128. Fr. 5.—

Historia, pamiętniki, polityka

Biblioteka Dziel Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam**. Tom XLI—XLII. **Sir Arthur Conan Doyle**. Wspomnienia i przygody. Z oryginału angielskiego tłumaczył **F. S. Tom I—II**. Warszawa, (1925; str. 143 i 9nł. (I), 139 i 5nł. (II). Zł. 4.40 (pl.).

Mieczysław Schmidt. On His Majesty's Service. (Naokoło Afganistanu). Warszawa, E. Wende i S-ka, 1925; str. 4nł. i 212 i 4nł. i 1 ryc. i 1 mapa.

Geografia, krajoznawstwo, podróże

E. Maliszewski i B. Olszewicz. Podręczny słownik geograficzny, ze szczególnem uwzględnieniem Polski, jej spraw i interesów. Zesz. 17. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1925; str. 297—360. Zł. 3.—

Les Etats Contemporains. La Pologne. Par **Albert Mansuy**. Avec trois cartes. Paryż, F. Rieder et C-je, 1925; str. 136 i 8nł.

Biblioteka Dziel Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam**. Tom XLIII. **Wanda Melcer-Rutkowska**. Turcja dzisiejsza. Warszawa, (1925; str. 157 i 3nł.

Miscellanea

Sprawozdanie XLIII za rok 1924 z działalności Kasy Mianowskiego, instytutu popierania nauki. (Warszawa, 1925; str. 35 i 1nł.

BIAŁORUŚ

POEZJE

LEONARDA PODHORSKIEGO-OKOŁOWA

Cena zł. 1.20

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ,
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

P O L E C A

WYDAWNICTWA Z OSTATNICH DNI

<i>Barszczewski St.</i> —Czandru. Powieść z XXII wieku	6.—
<i>Bornsteinowa J.</i> —Zasady klasyfikacji dziesiętnej. Podręcznik bibliotekarski	4.—
<i>Brzeziński J.</i> —Hodowla warzyw. Wyd. 4	6.50
<i>Chrzanowski Ign.</i> —Romantyzm polski wobec konstytucji 3 maja (B. U. L. i M. S. 224)	0.50
<i>Dorożyńska El.</i> —Na ostatniej placówce. Dziennik z życia wsi podolskiej w latach 1917—1921, z przedmową Artura Górskiego	10.—
<i>Goetel F.</i> —Ludzkosc. Dwa opowiadania	3.50
<i>German J.</i> —Iwonka. Powieść	6.—
<i>Grimm A. L.</i> —Powieści z tysiąca i jednej noc. Dla młodzieży. Przekład polski. Wyd. 8 z siedmioma rycinami kolorowymi i barwną okładką T. Sopoćki	7.50
<i>Henderson C. H.</i> —Nowe wychowanie („What is to be Educated”), tłumaczyła I. Moszczewska	10.—
<i>Krasiński Z.</i> —Liryki—wzbór. Wyd. 2, znacznie powiększone (B. U. L. i M. S. 144)	0.60
<i>Lewicki A. dr. pr.</i> —Zarys historii Polski—opracował i uzupełnił Jan Friedberg (w „dodatku”: literatura historyczna). Wydanie szkolne 12	7.—
<i>Mickiewicz Adam.</i> —Liryki. Wyd. 2 (B. U. L. i M. S. 129)	0.60
<i>Malaczewski E.</i> —Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica. Opowiadanie z dziejów tułaczki żołnierza polskiego na obczyźnie w latach wielkiej wojny (B. U. L. i M. S. 223)	0.60
<i>Boguca C. i Niewiadomska C.</i> —Wypisy polskie na klasę pierwszą. Wyd. 18.	3.—
<i>Niewiadomska C.</i> —Drugi rok gramatyki, klasa I. Wyd. 18, przystosowane do programu M. W. R. i O. P.	0.80
<i>Ossendowski F.</i> —Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów (konno przez Azję Centralną) 10—13 tysięcy	8.50
<i>Ostrowski J.</i> —Chorągiew na dachu. Powieść	6.50
— Sztandar na maszcie. Powieść	5.50
<i>Prus Bolesław (Al. Głowacki)</i> —Faraon. Powieść, tom I/III. Wyd. 6.	18.—
<i>Reymont Wł. S.</i> —Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i portretem autora, tom XVI. Ave Patria. Wyd. 4	6—
— Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i portretem autora, tom XVII. Marzyciel. Wyd. 2	5.50
<i>Sienkiewicz H.</i> —Quo vadis? Powieść z czasów Nerona. Wydanie nowe broszura karton	5— 6—
<i>Schiller Fr.</i> —Marja Stuart. Tragedia w 5 aktach. Przekład M. Budzińskiego. Wyd. 2. (B. U. L. i M. S. 160)	1.20
<i>Tokarz W. prof.</i> —Wysocki i noc listopadowa, z 4 il.	— w druku
<i>Hoene-Wroński.</i> —Propedeutika mesjaniczna. Elementy filozofii absolutnej. Przełożony z francuskiego Paulin Chomicz	2.—

Dr. med. J. Szermant

ordynuje

w Marienbadzie

(HAUS FLORA)

KS. WŁODKA DZIEŁO „O NAUKACH WY-ZWOLONYCH”, RZYM 1780, kupię. Oferty dla Juijana Tuwima do redakcji „Wiadomości Literackich”.

„SINIJ ZURNAL”, „SATIRIKON”. Roczniki i oddzielne numery powyższych pism kupię, dobrze zapłacę. Oferty z cenami do administracji „Wiadomości Literackich” sub. „S. Z.”

podróż do

**GDAŃSKA, LWOWA,
KRAKOWA i WIEDNIA**

tylko samolotami Polskiej Linji Lotniczej, które kursują codziennie

Informacje:	Warszawa:	Zarząd, Nowy Świat nr. 24, tel.	9-00
	Lotnisko, ul. Topolowa	„	8-50
	Kraków:	Ekspozytura P. L. L., Św. Anny nr. 4	„ 32-22
	Lwów:	Ekspozytura P. L. L., Hotel George'a	„ 6-10
	Gdańsk:	Zastępstwo P. L. L., Lotnisko Wrzeszcz	„ 415-31
	Wiedeń:	Przedstawicielstwo P. L. L., Wiedeń I, Tegetthof	„ 72-575



TOW. WYDAWNICZE

WACŁAW CZARSKI I S-ka

w Warszawie, Marszałkowska 113,

POLECA:

BANDROWSKI-KADEN J.: *Miasto mojej matki* (nowele)

BRONIEWSKI W.: *Wiatrak* (poezje)

CONRAD-KORZENIOWSKI J.: *Korsarz* (powieść)

IWASZKIEWICZ J.: *Księżyc wschodzi* (powieść)

„ *Kasydy* (proza)

LIEBERT J.: *Druga ojczyzna* (poezje)

ŁOZA WŁ.: *Order i odznaczenia Rzplitej Polskiej*

NAŁKOWSKA Z.: *Dom nad łakami* (powieść)

SHAW B.: *Święta Joanna* (sztuka z przedmową autora)

STRUG A.: *Pokolenie Marka Świdły* (powieść)

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

NOWOŚĆ!

Z OJCZYŹNY

Bernarda Chrzanowskiego

Dziesięć gawęd harcerskich, dostosowanych do dziesięciu praw harcerskich

CHYZANOWSKI — Na kaszubskim brzegu	1.40
Z wybrzeża i o wybrzeżu	1.20
PAWŁOWSKI—JAKUBSKI—FISZER — Z polskiego brzegu.	1.50
ORŁOWICZ — Ilustrowany przewodnik po Pomorzu, z mapą wybrzeża.	9.60
ORŁOWICZ — Ilustrowany przewodnik po ziemi Kaszubów.	4—
Mapa plastyczna Tat, 1:50 000.	5.25
Mapa Jaworzyny i Tat spiskich	0.10
Mapa turystyczna Podhala, Spisza i Orawy	0.75
Mapy generalne z obszaru Polski	0.90

Książnica-Atlas

Warszawa, Nowy Świat 59

Lwów, Czarnieckiego 12

NOWOŚĆ!

cena 1.60

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 spalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 spalt.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 73-46.

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30, m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI
Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI.